



OPATOWLANIN

Czasopismo Towarzystwa Przyjaciół Opatówka

3 - 4 / 103 - 104

Marzec / Kwiecień

1999

Wiosna

(Na nutę szopenowską)



Pierwszy wlot skowronka pędzi chmury burz,
Pierwsza pieśń słowika budzi pączki róż,
Otwiera kielichy kwiatów łąk i gór,
Wpuszcza z nich żywych klejnocików chór...

Wnet w zielonym złocie muszek dźwięczących ród,
Z lazurów, z topazów jętki sponad wód,
I pasikoników w trawie głośny chór
Smyczkuje skrzydłami słowikowi wtór...

Za kapelą muszek, zaraz z krzewów, z drzew,
Každy ptaszek dzwoni wiosny czarów śpiew,
A czy to z gałązek, czyli z miedzy pól,
Piosnka ptasia ludziom ciągnie z serca ból...

I napawa życiem wątłą piersi cieśń,
Jakby z nią powiała z nieba skrzydłem pieśń...
Robi się wesoło w krąg – po ziemi kres,
Śmiechy słycać nawet spod stygnących łez...

Nigdzie rozczarowań, nigdzie szczęścia zdracl!
Wita świat radością tak młodzian, jak dziad!
Żli kędyś przepadli, każdy dobry człek,
Wschodzi upragniony wszechnadziei wiek...
Ramiona wyciąga do uścisku wróg!
Pokrzywdzonych, smutnych uratuje Bóg!

Stefan z Opatówka

*Radosnych
spokojnych,
i słonecznych
Świat Wielkiej Nocy*

*Życzy
Czytelnikom
redakcja
„Opatowianina”*

W pogoni za biznesem...

Był piękny, kwietniowy, świąteczny dzień. Przyniosłam święconkę z kościoła w dużym koszu. Mama delikatnie wyjmowała święcone baby, wianki kielbasy, jaja, chleb, masło, ser, chrzan, pieprz i sól. Przekładała do mniejszego koszyka, ustroiła zieleniną i liśćmi borówki i kazała zanieść „Babci” Szadkowskiej.

„Babcia” siedziała pod piecem smutna, osowiała, w rękach trzymała różaniec o dużych paciorkach, ale się nie modliła. Nie uśmiechnęła się do mnie, nie przywitała radośnie.

- Babciu, przyniosłam święconkę.

Kiwnęła głową i wskazała, bym wyłożyła na talerz. Wyjęłam z kredensu najpiękniejszy i ładnie ułożyłam święconkę na talerzu.

- Może ukroić ci babki?

Babcia podziękowała i powiedziała, że święconkę je się dopiero w niedzielę po rezurekcji. - „Co tej babci jest.” - zastanawiałam się - Jest taka dziwna. W pokoiku jest ciepłutko, czyściutko i odświętnie. Biały obrus, serwetki szydełkowe wykrochmalone, ślicznie wyprasowane. Panny Jaskulanki: Marysia i Helenka bardzo się napracowały, żeby babci było miło i przyjemnie. A ona siedzi pod piecem taka dziwna, jakby zła, niezadowolona. Dlaczego?” Już miałam wyjść, gdy nagle Babcia wybuchnęła (nigdy jej takiej nie widziałam). Zaczęła wprost krzyczeć:

- To wszystko przez twojego wujka. Jak wyjechał do Ameryki, tak Franuś przestał pisać. Na pewno mu powiedział, że w Opatówku bieda, że nie ma po co wracać. Dawniej pisał, że przyjedzie i dolary mi przysyłał. A teraz nie, jakby kamień w wodę. To wszystko przez tego Leona Jaskulę. O Boże, mój Boże - biedna staruszka zaniósła się płaczem. Po chwili uspokoiła się i zaczęła mówić drżącym głosem:

- Pioruś zmarł, ja sama, niedołężna, gdyby nie te Jaskulanki, Marysia i Helenka, kto by się sierotą zajął. Nawet nie mam ich czym wynagrodzić. Kto mnie pochowa i za co? Nic nie mam - i znowu zaniósła się płaczem. Podeszłam do staruszki, ucałowałam ją i powiedziałam:

- Nie martw się Babciu. Napiszę do wujka, żeby odszukał twego synka Franusia i wszystko będzie dobrze - staruszka uspokoiła się

- Dobrze dziecko, zrób to szybko, ja stara, czasu niewiele.

Przyszłam do domu, zaszyłam się w swoim pokoiku na poddaszu i zaczęłam pisać list. Szło mi to dość opornie. Byłam dobrą uczennicą, lecz miałam dopiero dziewięć lat i chciałam możliwie wyraźnie opisać tragedię Babci, jej tęsknotę za synem (o dolarach nie pisałam), za to dużo o winie Leona Jaskuły za utracone kontakty z synem, o śmierci pana Piotra, o samotności staruszki, o jej chorych nogach, o lęku przed samotną śmiercią. List przepisywałam kilka razy. W tajemnicy przed rodzicami zaadresowałam i wysłałam.

Wujek wtedy był w kwiecie wieku, interesowały go bale, bankiety, przyjęcia, spotkania z Polonią. Jednak mój list zrobił na nim wielkie wrażenie tym bardziej, że niesłusznie był obwiniony. Wynajął detektywa, który odnalazł pana Franka, ale dowiedział się, że zakład pana Szadkowskiego zbankrutował. Wspólnik Augustynowicz go okradł, a Kodak wykończył. Tanie aparaty Kodaka, szybkie i tanie zdjęcia

były nie lada konkurencją dla solidnego portretowego studia w Chicago F. Szadkowskiego.

Wujek wziął trzytygodniowy urlop u Forda i sam zaczął szukać przyjaciela. Pomagały mu w tym wywiady z członkami Polonii. Po dwóch tygodniach znalazł przyjaciela w Chicago w dzielnicy murzyńskiej, bardzo chorego. Opiekowała się nim stara Murzynka. Sprowadzony przez wujka lekarz orzekł, że stan jest krytyczny - ostatnie stadium gruźlicy. Gdy po lekach gorączka nieco opadła chory oprzytomniał, poznał przyjaciela. Ucieszył się bardzo. Był podobny do Piotra, tylko mniejszego wzrostu. Jego czarne oczy pełne były łez. Ciemne włosy na skroniach pokryły się srebrem. Wujek zaproponował mu, że pokryje jego podróż do Polski, do Opatówka. Chory oburzył się na tę propozycję:

- Ja do Opatówka? Teraz, jak nędzarz, jak dziad! Nie przyjacielu, ja pragnę bardzo tam wrócić, ale jak pan, jak milioner, tak jak Małecki.

- Ale tam matka czeka.

- Poczekaj. Niedługo wyzdrowieję, już wiem co robić, by zdobyć majątek.

Atak kaszlu przerwał rozmowę. Wziął lekarstwa i długo milczał, wreszcie cicho zaczął mówić:

- Zobaczysz Leos, ja się odbiję od dna, tylko żeby tę gorączkę diabli wzięli. Wtedy z kapitałem przyjadę do Opatówka i rozkręcę biznes. Pokażę tym opatowiakom co znaczy i co może Szadkowski, Franio Szadkowski. Piotr w głowie miał tylko Strzelców, zebrania, ćwiczenia, majówki. Ty Leos fundowałeś orkiestrę, sztandar, czapki strzelcom, a ja dam opatowianom pracę, dobrą pracę, bo rozkręcę biznes. Wtedy i mama się ucieszy, bo ona bardzo lubiła biznes.

- Co ty takiego chciałbyś robić?

- Co? Pamiętasz staw? Zarośnięty z cuchnącą wodą? Ja go bracie każę oczyścić. przeprowadzę meliorację, zrobimy plażę, będą kajaki, łódki - to złoty interes. Wokół stawu kiosk z gorącymi kielbaskami, piwem, bułeczkami, herbatą, ciastkami i do tego modna muzyczka. Mogą być i zdjęcia, choćby z aparatu tego kapitalisty Kodaka, który doprowadził mnie do ruiny. Najważniejsze, że będzie pięknie, wesoło i radośnie. - Tu głos mu się załamał i po chwili cicho dodał - Boże, spraw, żebym ja to mógł zrobić dla Opatówka.

Gorączka wróciła ze zdwojoną siłą. Chory majaczył. Wzywał Piotra na ratunek. Przepraszał matkę. Tulił się do rąk Murzynki. Dostał krwotoku. W końcu wyczerpany zasnął. Wszyscy przygnębieni, że ten entuzjasta, niegdyś wspaniały człowiek nigdy nie spełni swych marzeń, bo koniec jego życia jest bliski. Leon Jaskuła musiał wrócić do pracy, prosił lekarza o wiadomość na wypadek śmierci przyjaciela. Przyszła po miesiącu. Wujek załatwił wszystkie formalności, zawiadomił przyjaciół, ale na cmentarzu za trumną siedł tylko jeden przyjaciel i stara Murzynka. Po pogrzebie Leon Jaskuła wyjął 200 dolarów i chciał wręczyć Murzynce za opiekę nad przyjacielem i jego grobem. Ale Murzynka nie przyjęła pieniędzy - „Dobry Panie schowaj swe dolary. On był dla mnie jak syn. On mnie matką nazywał. Całował moje ręce. Przepraszał tę z Polski i mnie brał za nią. Ja mu oczy zamknęła. Nie dla pieniędzy opiekowałam się nim - Ja go kochałam. Kwiaty? Nie martw się o kwiaty, panie. Posadzę najładniejsze. A gdy przyjdzie mój koniec, każę się tu przy nim położyć i moje wnuczki będą sadyły dla mnie i dla niego najpiękniejsze.

Po kilku latach Leon Jaskuła pojechał na grób przyjaciela z własnoręcznie wykonanym krzyżem żelaznym i polskim napisem. Murzynka leżała w grobie obok Franciszka Szad-



kowskiego, a nad nim mienił się kobierzec różnobarwnych kwiatów.



Znak firmowy zakładu Franciszka Szadkowskiego w Chicago

Po latach zanim wszystko się wyjaśniło Pani Szadkowska, oplakana przez przyjaciół, pochowana przez państwo Jaskułów spoczęła na cmentarzu przy swoim synu Piotrze, nigdy się nie dowiedziała, dlaczego drugi ukochany syn nie spełnił jej oczekiwań.

* * *

Pogoń za biznesem, majątkiem poza granicami ojczyzny bardzo często jest ryzykowna i nie przynosi sukcesu. Jest dla wielu drogą pełną upokorzeń i cierpień, wyrzeczeń i upadków moralnych, kończących się nieraz utratą największej wartości, jaką jest ludzkie życie.

Maria Królewicz



Wielkanocna pomoc Punktu Charytatywnego w Opatówku dla potrzebujących

To już drugi raz Punkt Charytatywny przy Parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Opatówku z okazji Świąt Wielkanocnych zakupił proszki do prania i mydło dla osób najbardziej potrzebujących.

Proszek w opakowaniach 1,3 kg, mydélka do mycia oraz napeje od pani Haliny Sroczyńskiej otrzymały 43 osoby.

Maria Kocemba



Z żalem żegnamy

śp. Tomasza Adamczewskiego

wspaniałego Człowieka, miłośnika zwierząt,
opatowianina

Rodzinie Zmarłego składamy wyrazy
szczerego współczucia

Zarząd i członkowie TPO



Pamięci Tomasza Adamczewskiego

15 kwietnia 1999 r. odszedł na zawsze lekarz weterynarii Pan Tomek Adamczewski, który całe swoje młode życie poświęcił leczeniu chorych zwierząt inwentarskich i domowych oraz zabiegom profilaktycznym. Swoją pracą uchronił wielu rolników przed stratami spowodowanymi chorobami inwentarza. Jako lekarz weterynarii był bardzo obowiązkowy i uczynny. Nigdy nie słyszeliśmy z Jego ust słów: „Nie mogę”. Na każde wezwanie przybywał natychmiast, niezależnie od pory dnia. Niejedną noc spędził przy chorym zwierzęciu, ale kiedy widać było poprawę cieszył się razem z nami.

W tej trudnej i odpowiedzialnej pracy nigdy nie okazywał zmęczenia ani zniecierpliwienia. Pan Tomek Adamczewski pozostanie w naszej pamięci do końca naszego życia.

Składamy serdeczne, szczerze wyrazy współczucia Mamie, Żonie z Dziećmi oraz Całej Rodzinie nieodżałowanego Pana Tomcia.

Janina i Stefan Melkowie



Redaguje zespół w składzie:

Bożena Banasiakowa, Jadwiga Bunclero
wa, Anna Burkowa, Jan Kowalkiewicz,
Piotr Kuczyński, Stanisław Kuś,
Elżbieta Rogozińska,

Korekta: Elżbieta Rogozińska

Współpraca: Barbara Sulwińska

Skład: Małgorzata Judasz

Wydawca: Towarzystwo Przyjaciół Opatówka
Gminna Biblioteka Publiczna

POZNAJMY SIĘ



Andrzej Pływaczyk
- Członek Zarządu Gminy

Miejsce zamieszkania - Opatówek

Wiek - 49 lat

Znak zodiaku - ponieważ urodziłem się 23 października w pierwszych godzinach, w swoich horoskopach korzystam z dwóch znaków zodiaku - Wagi i Skorpiona;

Wykształcenie - średnie zawodowe - technik rolnik

Praca zawodowa - po prawie 20 latach przepracowanych w Kółkach Rolniczych, paru latach na kontraktach zagranicznych i kilku latach w gminie przy wodociągach dorobiłem się zawatu i przebywam na rencie inwalidzkiej;

Zainteresowania - lubię majsterkować i politykować. Lubię ładne samochody i mądre kobiety, Kocham dobrze i smacznie jeść;

Rodzina - żona Halina, troszkę młodsza i dwóch dorosłych wspaniałych synów Karol i Łukasz, z którymi jak do tej pory nie miałem trudności wychowawczych;

Związki z gminą Opatówek - z gminą związany jestem od 1973 roku, mieszkam od 1974 roku, w latach 80-tych zaangażowałem się w pracę społeczną i polityczną;

Zalety i wady charakteru - staram się być szczery (czasami aż do bólu, za co cierpię sam i często moja rodzina), jestem pracowity lecz jak magnes przyciąga mnie ulubiony fotel przed telewizorem, Kocham spać i ...

Czym chciałby szczególnie zająć się jako radny - pracą w komisjach budżetowej i oświaty, kultury, sportu i zdrowia, które myślę, że dają mi pewne zadowolenie, a moim wyborcom satysfakcję z wyników mojej pracy.



Henryk Łazarek
- Radny Gminy Opatówek

Miejsce zamieszkania - Chełmce

Wiek - 41 lat;

Znak zodiaku - Koziorożec;

Wykształcenie - średnie;

Praca zawodowa - gospodarstwo rolno-ogrodnicze;

Zainteresowania - działalność społeczna w OSP - pożarnictwo, krajoznawstwo, turystyka, pomoc innym;

Rodzina - żona Teresa, córka Marta, synowie Michał i Adam. Żonaty od 15 lat;

Związki z gminą Opatówek - od zawsze;

Zalety i wady charakteru - Myślę, że zaletą jest bezinteresowna pomoc i służba innym oraz dokładne przemyślenie przed podjęciem decyzji. Nie potrafię za wszelką cenę czy intrygami walczyć o własne korzyści. Nie jestem bez wad.

Czym chciałby szczególnie zająć się jako radny - poprawą warunków życia mieszkańców swojej wsi:

- telefonizacja (nie ma chyba takiej wsi w gminie, gdzie $\frac{3}{4}$ mieszkańców ma do najbliższego telefonu około 2,5 - 3,5 km.)
- naprawa dróg (ponad połowa mieszkańców wiosną, jesienią i zimą nie może dojechać do swoich domów, bo drogi są nieprzejezdne)
- połączenie komunikacją publiczną Chełmc z Opatówkiem (teraz, żeby dojechać do siedziby gminy oddalonej o około 6 km trzeba jechać przez Kalisz tj. około 26 km.)
- budowa sali gimnastycznej przy szkole podstawowej (szkoła, do której uczęszcza około 300 dzieci i młodzieży, nie posiada sali gimnastycznej, w której mogłaby cała klasa równocześnie odbywać zajęcia z W-F)
- powstaniem czy raczej powołaniem gimnazjum w Chełmcach (ponieważ według mnie dowożenie młodzieży młodszej do jednej bardzo dużej szkoły nie będzie miało dobrego wpływu na wychowanie młodzieży, będzie ona zagubiona a koszty dowożenia, czas dojazdu i rozbudowa obsługi technicznej to bardzo duże koszty, zważywszy, że budynki szkół podstawowych będą niewykorzystane, ale trzeba będzie je utrzymywać)

i wiele innych bieżących spraw, które będą wynikały w czasie pełnienia przeze mnie obowiązków radnego - kultura, sport itp.



Wspomnienia wysiedleńca z lat niemieckiej okupacji

Relacja moja dotyczy faktu wysiedlenia mnie, rodziców i rodzeństwa przez niemieckiego okupanta oraz związanych z tym skutków i przeżyć całej naszej rodziny w okresie czterech lat przebywania na wygnaniu oraz po powrocie z wysiedlenia po zakończeniu wojny.

W dniu 12 października 1940 roku o godzinie 5⁰⁰ przybył do naszego domu w Cieni I gmina Opatówek, powiat kaliski niemiecki żandarm z dwoma policjantami i oświadczył mojemu ojcu Stanisławowi, po uprzednim jego wylegitymowaniu, że jesteśmy wysiedlani oraz, że mamy się szybko spakować, gdyż za 15 minut nastąpi wyjazd furmanką do odległej o 3 km stacji kolejowej w Opatówku. Żandarm miał nas spisanych dokładnie, bowiem służbę pozostawili w domu.

Oświadczeniem tym zostaliśmy wprost porażeni, bowiem byliśmy przeświadczeni, że Niemcy nas nie wysiedlą, gdyż cała gmina Opatówek była wysiedlana przy końcu czerwca 1940 roku.

W związku z tym faktem powstało w mieszkaniu straszne przerażenie i zamieszanie. Młodsze rodzeństwo jeszcze spało, a było nas pięcioro dzieci: Maria – 1 rok i 2 miesiące, Stanisław – 3 lata i 6 miesięcy, Anna – 6 lat, Stefania – 9 lat i ja Jan – 12 lat i 9 miesięcy.

Obudzenie i ubranie dzieci zajęło rodzicom kilkanaście minut. Byliśmy stale ponaglani przez policjantów, że już należy opuścić dom. Niemcom zależało, żeby jak najwięcej pozostawić, więc pozostało wszystko: ubiory, pościel, bielizna różna, wyposażenie kuchenne i stołowe, dokumenty, książki, świadectwa szkolne, fotografie rodzinne i całe gospodarstwo na które składało się: 20 hektarów gruntu, zabudowania gospodarcze: dom, obora, stodoła, spichlerz oraz młyn wodny, cztery stawy, trzy konie z uprzężą, siedem krów, pięć owiec, szesnaście świń, kilkadziesiąt kur, kaczek, gęsi, maszyny i urządzenia, pasieka składająca się z piętnastu uli pszczół, dwa wozy i bryczka, różne narzędzia ręczne, wszystkie zbiory zboża, ziemniaków, warzyw, sad owocowy i drzewa olchowe nad rzeką i stawami.

Po przywiezieniu nas na stację kolejową w Opatówku zastaliśmy już kilka wysiedlonych rodzin, które razem z nami żandarmi załadowali do oddzielnego wagonu i zawieźli do Łodzi, do zabudowań fabrycznych (Łąkowa, Kopernika), najpierw do tzw. „czyścica”, w którym wszyscy zostali poddani osobistej rewizji, w rezultacie czego ojcu Niemcy zrabowali 300 marek, a matce dwa złote pierścionki. Po tym cała rodzina została posadzona na długiej ławie i poddana oględzinom rasowym grupy niemieckich „fachowców”.

Po tych zabiegach zostaliśmy zaprowadzeni do innego budynku fabrycznego i ulokowani na czwartym piętrze na ogólnej dużej fabrycznej hali, wprost na podłodze i na słomie, a raczej na gnoju, bowiem od spodu słoma była mokra i cuchnąca od moczu niemowląt i małych dzieci. Ubikacje

prowizoryczne były na podwórzcu fabrycznym i z czwartego piętra, każde o wysokości 3 metrów, starzy ludzie nie mogli wejść ani zejść z tej wysokości, tym bardziej matki z małymi dziećmi. Na sali nie było wody do picia ani mycia. Była ona w kranach na podwórzcu, które było zablokowane po kostki. Również kuchnia była na podwórzcu na wolnym powietrzu i po każdy posiłek trzeba było wystawać w błocie i zimnie.

Po dziecięciu dniach pobytu w fabrycznej hali Niemcy zerwali nas o 4³⁰ do wymarszu na stację kolejową Łódź Fabryczna, z której po otrzymaniu dwóch bochenków chleba na rodzinę, pociąg odjechał w nieznaną stronę.

Około południa znaleźliśmy się na bocznym torze dworca Warszawa Gdańska. Po długim postoju i dalszych jeszcze zatrzymaniach znaleźliśmy się około godziny 20⁰⁰ na rampie wylądowczej w Legionowie koło Warszawy. Tam czekały na nas furmanki, które po wylądowaniu na innej rampie kolonistów niemieckich z okolicznych wsi gminy Jabłonna,abrały nas do miejsca osiedlenia.

Naszą rodzinę przejął sołtys wsi Tomaszew, pan Knyż, który około północy przywiózł nas do swojego domu, udzielając nam posiłku i noclegu. Na drugi dzień rano odwiózł nas na miejsce zesłania we wsi Tomaszew gmina Jabłonna powiat warszawski. Była to straszna chwila rozpaczy i lez, gdy zobaczyliśmy tę nędzną zagrodę. Były to 2 hektary gruntu piaszczystego w połowie leżącego odłogiem, dom z betonowych pustaków, bardzo zimnych i niezdrowych, składający się z jednej izby, w środku kuchni, a z drugiego końca z obory, pod jednym dachem. Z inwentarza żywego była krowa, pies i kot. Krowa z dworu wchodziła do kuchni, a z kuchni do obory. W małej stodołce o powierzchni około 40 m² były trzy snopki żyta i w kopcu około 200 kg ziemniaków, o wielkości laskowego orzecha, z przeznaczeniem na paszę dla krowy. Siana i słomy nie było, stąd nie było czym żywić krowy. W izbie były dwa łóżka, szafa, stół, cztery krzesła i ławka, wszystko stare o niskim standardzie. Sufit z desek nie otynkowany i drewnianych belek. Na stropie nie było glinianej polepy tylko liście, skąd zimą przenikał mróz. Żelazny mały piecyk nie zapewniał utrzymania pokojowej temperatury. Nie było też w szopce żadnego opału, więc z miejsca musiałem codziennie z ojcem chodzić po drewno do lasu.

Do tej posesji nie nabyliśmy nigdy prawa. Co rok przyjeżdżał „treuhender”, taki niemiecki komisarz, który kontrolował stan obiektu, czy jest utrzymywany w należytym stanie i czy nie ma zniszczeń.

Przez rok, my dzieci, nie chodziliśmy do szkoły w Białogórze Dworskiej, gdyż nie mieliśmy stosownego do pory roku ubioru, a to co mieliśmy na sobie w chwili wysiedlenia zdążyło się zniszczyć. Poza tym ja, jako najstarszy, musiałem paść krowę i ojcu pomagać w wielu czynnościach domowych.

Od początku pobytu na wysiedleniu rodzice zdobywali pożywienie dla całej rodziny oraz dla krowy od zamożnych okolicznych gospodarzy, odpracowując im za to. Krowa, dając dziesięć litrów mleka dziennie, umożliwiała nam zdobywanie pieniędzy ze sprzedaży części mleka, na zakup innych niezbędnych towarów, w tym opłaty towarów żywnościowych przydzielonych na kartki.

Przez około pół roku otrzymywaliśmy codziennie obiady z Rady Głównej Opiekuńczej (RGO) z kuchni w Płudach, za zasługą społecznikowską hrabiego Potockiego z Jabłony, któryłożył pieniądze na ten cel.



W listopadzie 1941 roku wznowiłem naukę w piątej klasie szkoły powszechnej w Białoleśce Dworskiej. Ojciec na wiosnę tego roku dostał pracę dróżnika na szosie w Markach, a matka chodziła do pracy sezonowej do bogatych gospodarzy i ogrodników. Poza tym ojciec zaorał wszystkie ugory i poobsiewał pole prosem, gryką i zbożem jarym. Sprzyjające warunki klimatyczne przyniosły dobre urodzaje. Nie było już głodu.

W tym czasie poznaliśmy wielu wysiedleńców z kaliskiego, łaskiego, jarocińskiego, wolsztyńskiego, szamotulskiego oraz z Kujaw, z którymi zawiązały się między nami przyjaźnie. Także poznaliśmy wielu ludzi miejscowych, co ułatwiło nam życie.

Z rodziną w gminie opatowskiej utrzymywaliśmy kontakt drogą korespondencyjną. Wiedzieliśmy wszystko co Niemcy robią w naszym domu i gospodarstwie.

W czasie pobytu na wysiedleniu ukończyłem szóstą klasę szkoły powszechnej i pierwszą klasę gimnazjum na tajnym komplecie, zorganizowanym przez kierownika szkoły.

Na rzecz niemieckiego okupanta musiałem w 1942 roku wyładowywać dwa razy węgiel z wagonów w Legionowie, a w lipcu 1944 roku przez sześć dni kopać okopy dla niemieckiego wojska – bez zapłaty. Ale najgorsze było jeszcze przede mną i przed nami wszystkimi.

W sierpniu 1944 roku, gdy zbliżał się front do Warszawy, niemieccy żołnierze przeciągnęli przez wieś Tomaszew kabel telefoniczny, który został przez kogoś przecięty. Wszyscy mężczyźni z pobliskich domów, dowiedziawszy się o tym fakcie uciekli do lasu, spodziewając się represji ze strony wroga. Jak się później okazało nieomylnie. Ja też uciekłem z ojcem do lasu, ale po dwóch godzinach ojciec wrócił do domu na swoje nieszczęście, bo żandarmeria szukając sprawców, tylko jego jedyne spotkała i aresztowała. Gdy żandarmi zawieźli ojca na posterunek w Henrykowie, nie wpytując o nic, dali mu do ręki łopatę i kazali kopać dół. Po kilku minutach przyjechał na żandarmerię sołtys meldując, że cyganie przecięli kabel. W okolicy było w tym czasie kilka obozów cygańskich. Niemcy sołtysowi uwierzyli i ojciec został zwolniony do domu.

W dniu 10 września 1944 roku nastąpiło brzemiennie w skutki wydarzenie, które przyniosło nam cierpienie i straty. Ruszyła bowiem ofensywa Armii Czerwonej znad rzeki Bug o godzinie 6⁰⁰. Około 8⁰⁰ pojawiła się we wsi niemiecka żandarmeria wojskowa i zabrała wszystkich mężczyzn, jak oświadczyli, do odgruzowywania ulic w powstańczej Warszawie, tylko na trzy dni. W efekcie tych działań niemieckich mnóstwo ludzi z okolicznych miejscowości znalazło się na dziedzińcu gminy w Jabłonie. O godzinie 18⁰⁰ przyjechały samochody ciężarowe i mnie z ojcem oraz wszystkich innych zawiozły do fortu w Zakroczymiu. W sumie Niemcy zgromadzili tam około 1500 ludzi, w tym kobiety w niewielkiej liczbie. Po pięciu dniach przebywania w bardzo trudnych warunkach w forcie, komendant obozu zarządził wymarsz na stację kolejową do Modlina. Kto się czuł chory, miał się zgłosić najpierw do polskiego lekarza, a jeśli ten uznał, że ktoś jest rzeczywiście chory, kierował do niemieckiego lekarza, którym był gestapowiec. Zapowiedziano, że udawanie chorego będzie karane.

Ojciec zgłosił się do lekarza, bowiem odczuwał ból serca, a ponadto był inwalidą, z krótszą o pięć centymetrów nogą i znacznie usztywnionym stawem biodrowym po ciężkim postrzale na trzecim Powstaniu Śląskim. Polski lekarz przekazał ojca do lekarza niemieckiego, a ten po badaniu

zwolnił ojca od wymarszu z obozu. Było też zarządzenie komendanta obozu, że osoba zwolniona mogła zabrać ze sobą najbliższego członka rodziny. W ten sposób i ja zostałem zwolniony z obozu. W sumie około 20 osób, w tym połowa młodzieży.

Przed południem nastąpił wynarsz dużej grupy ludzi na stację do Modlina, a po południu naszej grupy, którą odprowadził żołnierz niemiecki do mostu w Modlinie, którego pod karą śmierci cywilowi przekraczać nie było wolno i powiedział naszemu tłumaczowi z grupy, że możemy iść tylko w kierunku na Wyszogród, natomiast nie wolno nam iść w kierunku Warszawy. Mieliśmy zbiorową przepustkę z obozu. Oczywiście zrobiliśmy po swojemu i na drugi dzień podeszliśmy do Łomianek, skąd niemiecki żołnierz stojący na szosie do Warszawy zawrócił nas. Poszliśmy skrajem puszczy Kampinoskiej do Lasek, a stamtąd po dwóch dniach marszu znaleźliśmy się w Błoniu, gdzie nastąpiło rozwiązanie grupy.

Ojciec i ja z Błonia udaliśmy się w Piotrkowskie, gdzie w majątku Golesze ojciec miał siostrzeńca administratorem i u niego tydzień się zatrzymaliśmy. Następnie udaliśmy się do gminnej Rady Głównej Opiekuńczej w Wolborzu, która nas skierowała do wsi Bogusławice. Sołtys tej wsi ulokował nas u gospodarzy, u których pracowaliśmy, otrzymując wyżywienie a także używane odzienie, gdyż byliśmy w letnich starych ubraniach. Był to już początek października 1944 roku. Front się ustabilizował na linii Wisły. Z matką i rodzeństwem straciliśmy kontakt. W grudniu 1944 roku siostrzeniec ojca w Goleszach otrzymał list od matki, że znajduje się w Pruszkowie i poszukuje nas. Ojciec natychmiast pojechał do Pruszkowa pod wskazany adres i przywiózł matkę i rodzeństwo do Bogusławic. Po przyjeździe rodziny otrzymaliśmy od jednego z gospodarzy pokój i zamieszkaliśmy razem. Okazało się, że matka w dwa dni po zabraniu nas przez żandarmerię połową została przez wojsko niemieckie ewakuowana, gdyż rozpoczął się silny ostrzał artyleryjski obydwu armii. Przedtem jeszcze niemieckie wojsko zabrało krowę i kury na rzeź.

Wiele rzeczy z ubiorów i pościeli przepadło, bowiem z pośpiechu nie zdążyli zabrać wszystkiego. Znowu zostały fotografie rodzinne i moje świadectwo szkolne z piątej klasy oraz szereg drobnych rzeczy, ale ważnych dla nas.

Nie minęło kilka tygodni spokoju, a już ruszyła z linii Wisły ofensywa Armii Czerwonej z dniem 12 stycznia 1945 roku. Po czterech dniach Bogusławice zostały wyzwolone.

Muszę tu zaznaczyć, że od chwili przybycia na początku października 1944 roku do Bogusławic co drugi dzień musiałem, jako przedstawiciel gospodarza, pracować przy budowie lotniska polowego niemieckiego na polach majątku i stadniny ogierów zarodowych Bogusławice, oczywiście nieodpłatnie.

Mimo że nasza rodzinna Cienia koło Kalisza była już wyzwolona 24 stycznia, to my pozostawaliśmy nadal w Bogusławicach koło Piotrkowa Trybunalskiego z kilku powodów. Otóż zaczęły się choroby rodzeństwa i matki, bardzo poważna choroba zapalenia stawów.

Przez kilka miesięcy pociągi osobowe i towarowe były obwieszane lawiną ludzką, która zaczęła się przemieszczać z przymusowych miejsc pobytu. Wszystkie stopnie i dachy były zajęte, nie mówiąc już o wnętrzach wagonów.

W tych warunkach nie było już możliwości powrotu z małymi dziećmi do domu w Cieni. Dopiero w końcu kwietnia zaobserwowaliśmy na stacji Baby koło Piotrkowa Try-



bunalskiego, ze się rozluźniło w przedziałach osobowych i że będzie możliwość wejścia do środka wagonu.

Z wielkimi trudnościami i kilkoma przesiadkami dotarliśmy wreszcie w dniu 2 maja 1945 roku po czterech i pół roku nieobecności w rodzinnym domu w Cieni, na miejsce końca naszej tułaczki.

Zastaliśmy, zgodnie z naszymi przypuszczeniami, kompletną pustkę w domu, w stodole i w oborze. Z informacji uzyskanych na miejscu dowiedzieliśmy się, że Niemcy rozpoczęli wyprzedaż wszystkiego co się dało z chwilą wkroczenia w lipcu 1944 roku wojsk sowieckich na terytorium Polski. Gdy ruszyła na początku 1945 roku ofensywa znad Wisły niemieccy osiedleńcy w trybie pośpiesznym zaczęli pakować dobytek na wozy konne i uciekać do Rzeszy.

Nie zastaliśmy ani jednego zwierzęcia domowego ani ptaka, zboże było wszystko wymłócone, stawy puste, pola nie obsiane, młyn zdewastowany (brak maszyn i urządzeń), pasieka zniszczona.

Życie naszej rodziny w Cieni zaczęło się od nowa. Ja od kwietnia przez dwa i pół miesiąca leżałem ciężko chory. W kilka lat później zostałem powołany do wojska, z pracą w kopalniach przez trzy lata i dwa miesiące na Górnym Śląsku. Ojciec poszedł na siedem dni do więzienia za nieodstawienie nakazanej ilości zboża, bo go nie miał. Urodzaje po Niemcach były bardzo słabe.

Po jakimś czasie zaczęło się nowe życie.



Jan Tomaszewski

V runda Pucharu Polski w piłce nożnej

W niedzielę, 7 marca na boisko LZS w Opatówku przyjechała jedna z najlepszych drużyn IV ligi, KKS Kalisz. Około trzysta osób przy pięknej, słonecznej pogodzie oglądało ładne widowisko piłkarskie. Ambitni opatowianie zaskoczyli w pierwszej połowie kaliszian, którzy przez 30 minut nie potrafili znaleźć recepty na naszego bramkarza i naszą obronę.

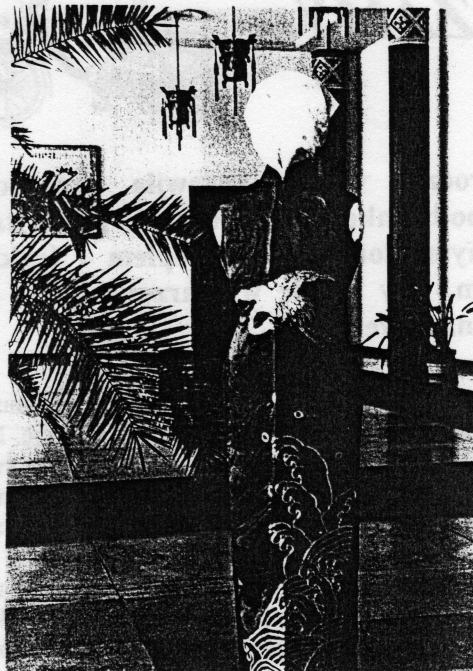
Dopiero w 34 minucie Dariusz Smoliński otrzymał idealne podanie od Grzesika i umieścił piłkę w bramce „Sparty”. Dwie minuty później kaliszanie prowadzili już 2:0 po główce Remigiusza Włosiaka. Druga połowa to mocne uderzenie KKS-u. W 46 minucie Kutynia zdobył trzeciego gola ... i rozwiązał worek z bramkami. Kolejne gole dla KKS-u zdobywali Włosiak, Marczak i ponownie Kutynia. Przy stanie 0:6 w 79 minucie meczu bardzo ładną akcję przeprowadziła Sparta a Cebulski zdobył honorowego gola. W 89 minucie meczu Kobyłka zdobył ostatniego gola, ustalając wynik meczu na 7:1.

Nasza Sparta zaprezentowała niezły futbol. Widać było, że nie została przepracowana dość dobrze. Jednak do wytrzymania całego meczu w dość dobrym tempie trzeba jeszcze trochę potrenować.

Jerzy Kowalczyk

MUZEUM HISTORII PRZEMYSŁU W OPATÓWKU

marzec – kwiecień 1999



SZTUKA CHIN TRADYCJA I WSPÓŁCZESNOŚĆ

ze zbiorów
Ambasady Chińskiej Republiki Ludowej
w Polsce

Z katalogu wystawy:

Propozycja, jaką daje nasza wystawa w Muzeum Historii Przemysłu, jest przedprożem do tego, co może w przyszłości zaoferować tradycja wieków i współczesność Chin w kulturze. – W dziedzinie, która najłatwiej łączy i zaprzyjaźnia Narody. Gdyż jak powiada Konfucjusz

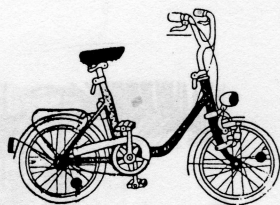
„Trzy są rodzaje przyjaźni: przyjaźń z prostolinijnym przyjaźni ze szczerym i z takim, który wiele wie.”

Roman Hauk
Dyrektor Muzeum



NA DWÓCH KÓŁKACH

RUSZAMY...



Tegoroczna wiosna sprawiła wszystkim miłą niespodziankę. Już na wstępie przywitała nas pięknym słońcem, ciepłem i lekkim wiatrem. Czy to nie wymarzona aura, by pojeździć na rowerze... ?

Oczywiście Ci, którzy przespali zimę będą musieli nieco wyteńczyć swe siły, aby osiągnąć dobrą kondycję. Niezależnie jednak od tego, czy zimą dbaliśmy o ruch na świeżym powietrzu, czy też nie, wszystkim wyruszającym na wiosenne szlaki rowerowe chciałbym udzielić kilku rad i wskazówek.

Przełom marca i kwietnia rzeczywiście przyniósł nam nagłe ocieplenie. Może nawet zbyt szybkie. Wszystkich nagle rozebrało z grubych zimowych kurtek, swetrów... Owszem, możemy to i owo zrzucić z siebie, lecz pamiętajmy, że to jeszcze nie lato. Nie przesadzajmy, by od razu wdziawać krótkie spodnie i koszulki. Widziałem sporą grupę dzieci tak poubieranych i mam obawy, czy przypadkiem nie chorują już na grype...

Najlepszym rozwiązaniem to chyba wszelkiego rodzaju dresy. Są lekkie, przewiewne, a w razie przemoczenia ich wiosennym deszczykiem - szybko schną.

Przygotowanie roweru to odrębne zagadnienie. Wybór i kupno odpowiedniego roweru omawiałem szeroko w dwóch ubiegłorocznych numerach „Opatowianina”. Dziś chciałbym zająć się sprawą sprawdzenia stanu technicznego naszych bicykli przed wyruszeniem na wiosenne wycieczki. Zdarza się bowiem często, że nasze rowery „zimują” gdzieś w garażach lub piwnicach bez wcześniejszej ich konserwacji na zimę. Zatem, jeśli nasz rower jest brudny, ma zardzewiały łańcuch, luźne tryby i przerzutki musimy koniecznie to zlikwidować. I nie jest to sprawa tylko „estetyczna - kosmetyczna”, lecz także, a może przede wszystkim sprawa naszego bezpieczeństwa podczas jazdy.

Proponuję w pierwszej kolejności przemyć rower. Nie będziemy w ten sposób brudzić się z nadto podczas odkręcania poszczególnych części i mechanizmów. Do tego celu używamy wiaderka z ciepłą wodą, do którego dodajemy odrobinę np. płynu do mycia naczyń lub proszku do prania. Jeżeli użyjemy samej wody, nie odłuszcimy niektórych, mocno zabrudzonych miejsc.

Kiedy rower obeschnie, proponuję zająć się łańcuchem. Rozpinamy go specjalnym wyciskaczem lub kładziemy rower na kartonach, zsuwamy łańcuch z przedniej zębatki (by był luźny), podkładamy pod łańcuch np. nakrętkę, a następnie wybijamy gwoździem jeden z bolczyków łączących poszczególne ogniwa łańcucha. Pamiętajmy przy tym, by odłożyć tę niewielką zawleczkę do jakiegoś pudełka,

aby przypadkiem nie szukać jej na kolanach w momencie kiedy będziemy chcieli ponownie założyć łańcuch. Kiedy już uporamy się ze zdjęciem łańcucha (wbrew pozorom nie jest to wcale takie proste) wkładamy łańcuch do jakiegoś pojemnika (najlepsze do tego celu są słoiki) i zalewamy go naftą na jeden dzień.

Teraz możemy zająć się kolejnymi mechanizmami. Przy użyciu specjalnego klucza (komplet kluczy powinien być zawsze dołączony przy zakupie nowego roweru) odkręcamy przednią zębatkę. Następnie usuwamy stary smar z oski oraz łożysk kulkowych. Łożyska możemy potem zanurzyć w naftcie, w której mamy łańcuch, a oskę i zębatkę wymyć naftą przy użyciu pędzelka.

Kolejnym etapem są koła. Również rozkręcamy piasty i myjemy je w naftcie. Wycieramy następnie wszystko do sucha i nakładamy smar (specjalny smar do łożysk dostępny w sklepach rowerowych) tak, aby pokrywał szczelnie wszystkie kulki łożyska. Możemy teraz skrócić koła i odłożyć je na bok, by zająć się przerzutkami. Tu, podobnie jak w przypadku innych mechanizmów, używamy pędzelka i nafty, wycieramy wszystko suchą szmatką i możemy na sprężyny i dwie rolki tylnej przerzutki „kapnąć” kilka kropel oliwki.

Hamulce to sprawa nadrzędna. Muszą być sprawne, więc ich oględziny rozpoczynamy od dokładnego przeglądu linek. Jeżeli stwierdzimy jakiegokolwiek ich uszkodzenie w postaci np. naderwania, musimy bezwzględnie wymienić je na nowe. Tu już nie ma mowy o jakimkolwiek oszczędzaniu - to przecież sprawa naszego (i nie tylko !) bezpieczeństwa. Po sprawdzeniu (ewentualnie wymianie) linek dokonujemy analizy stanu zużycia klocków hamulcowych. Generalnie jest zasada, że mogą być one starte do połowy specjalnych wypustek. Jeżeli jednak przednie klocki są jeszcze w porównaniu z tylnymi względnie dobre możemy je po prostu zamienić, bowiem jak wiadomo przednich hamulców rzadziej używamy. Następnie regulujemy ich prawidłowy docisk do obręczy tj. odległość między nimi a obręczą koła nie może przekraczać 2 mm. Zwracamy również uwagę na to, aby klocki dociskały całą swą powierzchnią do obręczy. Tylko wówczas uzyskamy prawidłowy i skuteczny efekt hamowania.

Pozostaje nam jeszcze kwestia dokręcenia błotników, bagażnika, napompowania kół, sprawdzenia oświetlenia i... możemy wyruszyć na wiosenne wędrowanie.

Oczywiście na wycieczkach przydadzą się różnego rodzaju „drobiazgi” jak: mapy, przewodniki, specjalne sakwy rowerowe, bidon, szczyryk, solidne zamknięcie rowerowe czy komplet kluczy oraz pompka.

Ważną sprawą jest odpowiednie przygotowanie trasy, którą zamierzamy przejechać. Warto więc wcześniej poczytać o historii, kulturze, zabytkach i obyczajach regionu, który będziemy zwiedzać. Czasami możemy „zgrać” termin naszej wycieczki z jakąś ciekawą imprezą kulturalną danej regionu.

Poznajmy ludzi. Turystyka rowerowa daje nam ku temu szczególną okazję. Fotografujmy i róbmy notatki. Dzięki nim będziemy mogli przeżywać ponownie wszystkie piękne chwile spędzone na rowerowych wędrowkach.

A więc ruszajmy...

Piotr Kuczyński

